Fragment relacji świadka historii



MIECZYSŁAW ŚLASKO

ur. 1943, Oblekoń

Zakres terytorialny i czasowy	Łódź, 1980

Udział w akcji protestacyjnej zakładów włókienniczych w Łodzi

Zajechaliśmy do Łodzi. Przed siedzibą siedział Andrzej Słowik, przewodniczący łódzkiej „Solidarności". Zarejestrowaliśmy się i dowiedzieliśmy się, że jest około tysiąca pięciuset delegatów. Tak się zdarzyło, że cała nasza ekipa z Bielawy, łącznie z Cabajem, znalazła się w głównej auli, w Zakładach Marchlewskiego. Były to największe zakłady w Łodzi. Dowiedzieliśmy się, że po drugiej stronie ulicy jest kino i tam, w sali kinowej będzie sześćset osób. Mieli nagłośnienie i poprzez nagłośnienie słuchali, co tutaj było. Tutaj była hala sportowa i tu miały być prowadzone negocjacje. W pierwszym dniu wystąpił Marek Czekalski, później został prezydentem Łodzi z PO. On był przewodniczącym całej sekcji, nawet bawełny. Zaczęto formować komitet, czyli prezydium strajkowe. O dziwo, zostałem zaproszony tam i zostałem wiceprzewodniczącym tego prezydium. Dowiedzieliśmy się, że będzie minister przemysłu lekkiego, że będzie wiceminister, pan Bajur, czyli były dyrektor „Bieltexu", który tutaj przez parę lat był dyrektorem i później wzięli go o do Moskwy na wielkiego znawcę i doradcę z zakresu przemysłu lekkiego. A później wrócił do Warszawy i został wiceministrem. No i zaczęły się negocjacje. To było bardzo trudne po przyjeździe tej ekipy. Oczywiście, jak to w tamtym okresie, zaraz pojawiały się głosy, że to polityczna sprawa. Ogłaszano przerwy, hałas niesamowity. Przetrwaliśmy ten pierwszy dzień. Oczywiście, obiad i wszystkie posiłki mieliśmy zapewnione. Miało to być tylko dwa dni. Ale okazuje się, że wprowadzono sprawę Narożnika i innych byłych esbeków, bo „Solidarność" się ujęła za nim. Od nas zaraz pismo poszło. Jak się minister dowiedział, to uznał, że to polityczna sprawa, że on tu nie przyjedzie na drugi dzień. Tak się stało, że nie przyjechał. Ale jeszcze w pierwszym dniu, wzięli całą delegację, między innymi ja tam też byłem, i oprowadzili po tym zakładzie. Oni zatrudniali tam, jak się nie mylę, dziesięć czy jedenaście tysięcy ludzi. Jak wszedłem na tkalnię, to był huk dwukrotnie większy, bo było ponad tysiąc dwieście krosien na tej sali. I to co najbardziej uderzyło, to te kobiety, gdy rozmawiały z ministrem, to podciągały fartuchy i pokazywały nogi, żylaki, odgnioty na brzuchu. Ten człowiek to po prostu blady i różowy się na zmianę robił. To był niesamowity widok. A jeszcze się dowiedziałem, że tam tkaczka obsługuje dwadzieścia cztery krosna „dziewięćdziesiątki" szerokości, a u nas na tkalni wtedy największe były „czternastki". Jak ja przychodziłem w 1960 roku do pracy, to były „ósemki". Później były „dziesiątki", a później zrobiono „czternastki". Bo uzależnione to było od tego, jaką tkaczka wyrabiała normę, którą miała. Gdy ją przekraczała, to więcej zarabiała. No to dodawano krosien. Tak doszliśmy do czternastu. Jak ja się dowiedziałem, że tam dwadzieścia cztery, to mówię:*To jest niesamowita rzecz, jaką te kobiety tam gehennę przeżywały.* Jak z kolei wszedłem na oddział wykończalni, to u nas tkalnia i wykończalnia „Bielbawu" czy „Bieltexu" to była najwyższa jakość maszyn. Tam jeszcze było średniowiecze. Tam były na wykończalni transmisje, czyli główny silnik, a stamtąd różne pasy chodziły. Trzeba było uważać, żeby fartucha nie wciągnęło do maszyny. To było niesamowite przeżycie, gdy człowiek mógł się przekonać, jakie są warunki pracy. Na drugi dzień minister nie przyjechał, ale przyjechał pan Bajur. Oczywiście zamieniłem z nim parę słów. Powiedziałem, że jestem z „Bieltexu". W pewnym momencie nastąpiła taka sytuacja, że też zagroził przerwaniem rozmów. Kobiety stały na zewnątrz i gdy usłyszały, że on chce przerwać rozmowy, to zaczęły kamieniami wybijać szyby i krzyczeć: *Dawać go tu na zewnątrz!* Siedziałem przy stole prezydialnym i w jednej chwili zobaczyłem pot wielkości grochu na jego czole i tylko te oczy wlepił we mnie, jakby szukał ratunku. Koledzy wybiegli na zewnątrz. Zaczęli odsuwać te

kobiety. On zgodził się dalej negocjować. No i znowu do samego wieczora. A na podpisanie uzgodnień przyjadą dopiero na trzeci dzień. No i oczywiście, jak on stąd wyjdzie? To było coś niesamowitego, cały ten zakład i cała ulica obstawione ludźmi. Tam nam przywozili wszystko, co tylko trzeba było z żywności. Zapewniliśmy wiceministra, że mu włos nie spadnie z głowy, chociaż takiego jeżyka tylko miał. Zrobiliśmy szpaler, wsiadł do taksówki i odjechał. I dopiero na trzeci dzień podpisaliśmy to porozumienie. Pamiętam, że gdy w drugim dniu poszliśmy na stołówkę i taki starszy człowiek, nazwę go dziadkiem, bo już siedemdziesiątkę miał i tam pracował, nie wiem na jakim oddziale, mówi do mnie tak: *Panie Mieciu, ja to już pożegnałem się z żoną, bo nikt stąd nas nie wyjdzie. Zobacz pan, nawet na tej stołówce, jak nas żywią. To jest przed śmiercią tak. No oczywiście ja mówię: To tylko jakieś urojenia, bo człowiek rzeczywiście jest zmęczony*. Myśmy spali dosłownie po dwie godziny, bo co rusz jakieś alarmy, jakieś inne sprawy. Wiele można opowiadać o tym, ale to było przeżycie niesamowite.

Data i miejsce nagrania	10 sierpnia 2021, Bielawa
Rozmawiał/a	Teresa Rodak
Redakcja	Jadwiga Horanin
Prawa	Forum Dialogu Między Kulturami